

# ŹRÓDŁA I DO KU MEN TY

## Rękopis znaleziony w Paryżu

### Traktat Stanisława Morawskiego o muzyce w jego wspomnieniach o Marii Szymanowskiej

(przygotowała Danuta Danek)

#### 1.

Jak wiadomo, do odkryć dochodzi często przypadkiem. Tak stało się i tym razem. Szukałam czegoś zupełnie innego, a natrafiłam na romantyczny traktat o muzyce, napisany na głuchej wsi litewskiej w 1849 roku przez „nieznanego wielkiego pisarza” – jak Stanisława Morawskiego określił ktoś przed wielu laty. A określenie to jest wciąż aktualne.

Spędziłam kilka tygodni nad dziewiętnastowiecznymi rękopisami w Bibliotece Polskiej w Paryżu w związku z pracą nad studium poświęconym Zofii Szymanowskiej, późniejszej Lenartowiczowej, malarce, niezwyklej, a zapoznanej osobowości. Czytałam zachowaną korespondencję, ale przede wszystkim szukałam wśród niezliczonych, w większości nieopracowanych papierów po Władysławie Mickiewiczu, w jego brulionach, wypisach i notatkach, bodaj jakichś fragmentów *Pamiętnika* Zofii Szymanowskiej, który najprawdopodobniej został właśnie przez Władysława zniszczony, a dotyczył jej paroletniego przebywania w paryskim domu Mickiewiczów (ocalała, początkową część opublikował w 1930 roku Tadeusz Boy-Żeleński w swoich *Brązownikach*). Znalazłam, ale zaledwie dwa fragmenty, a czas, jaki miałam, już się kończył<sup>1</sup>.

Wśród tych poszukiwań, przepatrywań i przemyśliwań, pod wpływem nieokreślonego impulsu, postanowiłam zajrzeć do jeszcze jednego rękopisu. Impuls był nieokreślony, bo tekst tego rękopisu, opublikowany w latach międzywojennych, znałam, i gdyby coś w nim

<sup>1</sup> Wyniki tych poszukiwań zainteresowany czytelnik może znaleźć w mojej rozprawie *Wizerunki Zofii Szymanowskiej i jej „Pamiętnik” w różnych wersjach „Mojej matki” Władysława Mickiewicza*, „Ruch Literacki” 2010, z. 1, s. 107–120. Zob. też fragmenty mojego studium o Zofii Szymanowskiej; *O „Pamiętniku” Zofii Szymanowskiej*, „Ruch Literacki” 2007, z. 1, s. 1–12; *Zofia Szymanowska. Autoportret w liście*, „Ruch Literacki” 2007, z. 6, s. 613–618.

dotyczyło Zofii Szymanowskiej, to bym pamiętała. A jednak zajaśniała. I ze zdumieniem zobaczyłam, co w nim jest – a co pominęli przedwojenni edytorzy.

Trudno nawet mówić o odkryciu, jako że rękopis Stanisława Morawskiego, o który chodzi, zawierający jego wspomnienia o Marii Szymanowskiej, figuruje od dawna w *Katalogu rękopisów Muzeum Adama Mickiewicza w Paryżu*, opracowanym przez Adama Lewaka (Kraków 1931, pozycja 984). Tylko że według powojennych krajowych źródeł bibliograficznych rękopis ten nie istnieje: miał spłonąć, jak wszystkie autografy Morawskiego, w 1944 roku, wraz ze zbiorami Biblioteki Ordynacji Krasieńskich, które Niemcy spalili po powstaniu warszawskim<sup>2</sup>.

Zachowanie się tego rękopisu jest więc ewenementem; tym bardziej doniosłym, że wspomnienia Morawskiego o Marii Szymanowskiej znaleźliśmy dotychczas jedynie we fragmentach: najpierw niewielkich, opublikowanych w czasopiśmie<sup>3</sup>, a potem większych, w zbiorze różnych tekstów Morawskiego, zatytułowanym przez wydawców *W Peterburku 1827–1838*<sup>4</sup>. W obu przypadkach nie tylko dokonano wielu opuszczeń, ale pominięto w całości stanowiące niemal jedną trzecią rękopisu, jak przekonałam się, gdy znalazł się w moich rękach, bo zajmujące przeszło dwadzieścia kart dużego formatu (rękopis liczy sześćdziesiąt dziewięć kart), rozważania o muzyce, duszy ludzkiej i stwórczej zasadzie kosmosu, którą ma być Dźwięk. Bagatela! Romantyczny traktat o muzyce, napisany w dworku litewskim z dala od świata, przez kogoś, kto w tytułach różnych swoich powstałych tam rękopisów mienił się Pustelnikiem. Traktat, który dotychczas pozostawał całkowicie nieznanym.

## 2.

Parę słów przypomnienia, kim był autor. Stanisław Morawski urodził się w 1802 roku pod Wilnem, był synem majątnego i światowego szambelana króla Stanisława Augusta, zmarł w 1853 roku w Ustroniu, małej posiadłości odziedziczonej po ojcu, na Wileńszczyźnie.

Ojciec zmusił go do podjęcia studiów lekarskich, które odbył na Uniwersytecie Wileńskim. Brał tam udział w związkach młodzieżowych, m.in. filaretów, i w bujnym życiu towarzyskim Wilna. W 1829 roku zamieszkał w Petersburgu, prowadząc tam praktykę lekarską i również uczestnicząc w ówczesnym życiu towarzyskim.

Po różnych dramatycznych zwrotach życiowych (całe jego życie było bardzo dramatyczne), wycofał się w 1838 roku, po śmierci ojca, do wspomnianego majątku Ustronie na Litwie, gdzie żył samotny, zarządzając majątkiem i hodując – dla konsolacji, jak pisał – kwiaty. Nazywał siebie odtąd Pustelnikiem. Jednak ten Pustelnik, sprawiający na niektórych współczesnych sobie wrażenie mizantropa odwróconego od świata<sup>5</sup>, był filantropem: leczył bezinteresownie okoliczną szlachtę zaściankową i chłopów, a dla ich dzieci założył szkołę (co groziło Sybirem). W czasach nieurodzaju i głodu karmił włościan z własnych zasobów. Wspierał każdego, kto zwracał się do niego o pomoc. Tam właśnie zaczął intensywnie pisać (wcześniej pisywał już i publikował rozprawki naukowe). Wtedy też zapisał cały „sposzyt IV-ty”, zatytułowany *Wspomnienia*, w któ-

Zachowanie się tego rękopisu jest więc ewenementem; tym bardziej doniosłym, że wspomnienia Morawskiego o Marii Szymanowskiej znaleźliśmy dotychczas jedynie we fragmentach

<sup>2</sup> *Bibliografia literatury polskiej „Nowy Korbut”*, t. 8: *Romantyzm*, oprac. I. Śliwińska, S. Stupkiewicz, Warszawa 1969, s. 416–418; *Polski słownik biograficzny*, t. 21, Wrocław 1976, s. 743–744. We wstępie *Od redakcji*, poprzedzającym reedycję tomu Stanisława Morawskiego *Kilka lat młodości mojej w Wilnie*, dokonanej po wojnie (Warszawa 1969), podano: „wszystkie autografy Morawskiego spłonęły w pożarze Biblioteki Krasieńskich w r. 1944” (s. 6).

<sup>3</sup> „Ateneum” 1898, t. 1, s. 326–347. Zatytułowano: *Wspomnienia współczesnika o Marii Szymanowskiej*, w spisie treści podano: „przez Stanisława Morawskiego”.

<sup>4</sup> S. Morawski, *W Peterburku 1827–1838. Wspomnienia Pustelnika i Koszałki-kobialki. Z 18 miedzionymi*, wyd. A. Czartkowski i H. Mościcki, Poznań [1927].

<sup>5</sup> Opinię tę przejmuje, wbrew znanym sobie faktom, Maria Dernałowicz, dając zarysowi biograficznemu, opracowanemu dla *Obrazu literatury polskiej XIX i XX wieku*, całkowicie mylący i głęboko krzywdzący tytuł *Mizantrop z Ustronia* (przedruk w książce autorki *Cudze życie*, Warszawa 2008, s. 70–90); w zarysie tym pojawiły się też inne sądy krzywdzące Morawskiego.

rym, nad początkiem tekstu, widnieje nagłówek *Szymanowska*. Pozostałe „spozyty” poświęcił innym osobom.

### 3.

Pisał tam wtedy jednak nie tylko wspomnienia. Przed wojną wydano trzy tomy różnych jego utworów, ale – niestety – zasłużeni skądinąd wydawcy, Henryk Mościcki i Adam Czartkowski, dokonali w nich różnorodnych ingerencji.

Najpierw ukazał się tom *Kilka lat młodości mojej w Wilnie. Pamiętniki Pustelnika (1818–1825)*<sup>6</sup>, potem zbiór, który wydawcy zatytułowali *W Peterburku 1827–1838. Wspomnienia Pustelnika i Koszałki-kobialki*<sup>7</sup>. A jako tom drugi: *Szlachta-bracia. Wspomnienia, gawędy, dialogi*<sup>8</sup>. Znamy poza tym parę listów Stanisława Morawskiego do różnych adresatów oraz jego listy do starszej córki Marii Szymanowskiej, Heleny i jej męża, Franciszka Malewskiego, który, jak wiemy, należał do przyjaciół Adama Mickiewicza. Na zbiór tych listów, zachowany również w Bibliotece Polskiej w Paryżu, zwrócił uwagę przed laty Czesław Zgorzelski. Został opublikowany w 1981 roku<sup>9</sup>. W Wilnie, w 2010 roku, ukazało się w języku polskim i litewskim albumowe wydanie odnalezionej fragmentu rękopiśmiennej rozprawki medycznej Morawskiego – *Fizjognomistyka kobiet*<sup>10</sup>.

Ingerencje przedwojennych wydawców sprawiły, że – wobec zniszczenia rękopisów Morawskiego przez Niemców – nie mamy i nigdy już nie będziemy mieć prawdziwego obrazu jego pisarstwa. A sądząc nawet tylko z tego, co opublikowane, jest jasne, że wydawcy ci czynili z niego jako pisarza kogoś innego, niż był w rzeczywistości.

Morawski bowiem, piszący w swoim odludnym dworcu jako Pustelnik, ma coś z Montaigne’a, snującego w odosobnionej wieży zamkowej refleksje o sobie, o ludziach, o świecie i o wszechświecie. Wincenty Lutosławski, w 1925 roku, gdy ukazał się pierwszy tom pism Morawskiego, nazwał go „nieznany wielkim pisarzem”<sup>11</sup>. Zrobiono zaś z niego pisarza anegdot. A w każdym razie – zaledwie „pamiętnikarza”.

*Nowy Korbut* podaje przy nazwisku Morawskiego właśnie: „pamiętnikarz”; w *Polskim słowniku biograficznym* jest już lepiej: „lekarz, pisarz, pamiętnikarz”. Wydawcy tomu *Kilka lat młodości mojej w Wilnie* napisali w swoim wstępie:

Najważniejszym dla nas jest ta część jego spuścizny rękopiśmiennej, która mieści w sobie pamiętniki i wspomnienia, a więc *Kilka lat młodości mojej w Wilnie*, *Wspomnienia* i *Szlachta-bracia*. Zawierają one tyle faktów ciekawych, takie bogactwo typów, taki wypukły obraz społeczeństwa, w którym żył autor, że naprawdę musimy je uważać za jedno z najlepszych pamiętników polskich<sup>12</sup>.

„Najważniejszą dla nas” – czyli dla kogo? I z jakiego powodu? Z racji osobistych zainteresowań, horyzontów intelektualnych i ocen wydawców?

<sup>6</sup> S. Morawski, *Kilka lat młodości mojej w Wilnie. Pamiętniki Pustelnika (1818–1825)*, oprac. i wstępem opatrzyli A. Czartkowski i H. Mościcki, Warszawa 1924.

<sup>7</sup> Zob. przypis 4.

<sup>8</sup> S. Morawski, *Szlachta-bracia. Wspomnienia, gawędy, dialogi (1849–1850)*, wyd. A. Czartkowski i H. Mościcki, Poznań [1929].

<sup>9</sup> Idem, *Z wiejskiej samotni. Listy do Heleny i Franciszka Malewskich*, oprac. Z. Sudolski, Warszawa 1981.

<sup>10</sup> Idem, *Fizjognomistyka kobiet*, oprac. S. Spokevicius, R. Salna, V. Piotrovicius, Wilno 2010.

<sup>11</sup> W. Lutosławski, *Nieznany wielki pisarz*, „Tygodnik Wileński” 1925, nr 14. Przedruk w osobnej broszurze: Bydgoszcz 1925.

<sup>12</sup> *Wstęp do pierwszego wydania*, w: S. Morawski, *Kilka lat młodości mojej w Wilnie*, w reedycji z 1959 roku, s. 18.

Ingerencje  
przedwojennych  
wydawców sprawiły,  
że nie mamy i nigdy  
już nie będziemy mieć  
prawdziwego obrazu  
pisarstwa  
Morawskiego

Z ich *Przedmowy* w tomie *Szlachta-bracia* dowiadujemy się, że jest jeszcze gorzej:

Rękopisu, o którym mówimy, nie podajemy tu w całości. Wiele rozważań i dociekań autora straciło zupełnie swą aktualność i żywą wartość. Opuściwszy więc wszystko, co ma ten charakter, podajemy tylko to, co za istotne wspomnienia pamiętnikarza uważać można.

Pozwoliliśmy też sobie na pewne przegrupowanie materiału, a mianowicie w części pierwszej. Nadaliśmy jej przede wszystkim tytuł, którego nie posiada w oryginale; dalej, wyjąwszy z niej tylko to, co zdaniem naszym na ogłoszenie zasługuje, odrzuciliśmy autorski podział na rozdziały i daliśmy swój, przy czym rozdział trzeci powstał z fragmentów, poprzedzających w oryginale pierwszy i drugi. Uczyniliśmy to dla udostępnienia całości czytelnikowi i nie nużenie jego uwagi przydługimi wywodami moralizatorskimi autora, aczkolwiek na ogół są one i rozumne i dowcipne. Tytuły rozdziałów drugiego i trzeciego tej części są również nasze. W części drugiej opuściliśmy trzy rozdziały (w oryginale jest ich dwadzieścia) i niektóre ustępy z poszczególnych rozdziałów. Kolejność i tytuły pozostawiliśmy zgodnie z oryginałem<sup>13</sup>.

Jednym słowem – hulaj dusza... Po cudzej własności intelektualnej, czyli po cudzej duszy.

Tak więc twórczość Morawskiego uległa po prostu sfałszowaniu. A rękopisy, z których można by odtworzyć stan autorski, już nie istnieją.

Dodam, że publikując tekst Morawskiego poświęcony Marii Szymanowskiej, przedwojenni edytorzy pominęli jego rozważania o muzyce, a w tekście ze „sposzytu” poświęconego Józefowi Oleszkiewiczowi usunęli rozważania Morawskiego o malarstwie. Nadto, dokonali zmian w dwu jego opowiadaniach (zmian niezaznaczonych w tekście). A część jego pisarstwa całkowicie wyeliminowali. Piszą bowiem:

We wspomnieniu o Oleszkiewiczzu opuszczono wywody autora o malarstwie w ogóle, we wspomnieniu o Szymanowskiej analogiczne ustępy o muzyce w ogóle. Nowelki pt. *Zemsta doktora* i *Pierwsze półrocze lekarskiego życia* przystosowano do druku, opuściwszy ustępy mniej interesujące a nużące czytelnika, i zniesiono podział na rozdziały. W *Głupich i błazeńskich notatkach* opuszczono ustępy, dotyczące osób niehistorycznych, a traktujące sprawy zbyt osobiste i zupełnie bez wszelkich obsłonek<sup>14</sup>.

Dla kogo „mniej interesujące a nużące”? Jakim prawem w opisany sposób „przystosowano do druku”? I zastosowano cenzurę?

Jednostronny obraz Stanisława Morawskiego jako pisarza jest wciąż ponawiany. Czyni się o nim wzmianki w ramach rozważań li tylko o pamiętnikarstwie, widzi się w nim w tym zakresie „mistrza wspomnieniowej narracji s o c j o l o g i z u j ą c e j [podkr. – D. D.]”<sup>15</sup>. Jeśli przyznaje mu się przy tej czy innej okazji jeszcze jakąś inną zaletę: „niezwykłą finezję psychologiczną”, to tylko w oddawaniu własnych przeżyć miłosnych<sup>16</sup>. Przypomina się w związku z tym znana skarga Stefana Żeromskiego, dotycząca literatury polskiej, że nie przynosimy światu wiadomości artystycznej o zawiłościach duszy człowieka, ale mówimy wciąż o zawiłościach duszy Polaka. Kiedy jednak pisarz polski przynosi właśnie wiadomości artystyczne nie tylko o duszy Polaka („szlachta-bracia” itp.), lecz także – i to jakie wiadomości, wręcz prekursorskie – o duszy człowieka, to jego pisarstwo jakby dla nas nie istniało...

<sup>13</sup>A. Czartkowski, H. Mościcki, *Przedmowa*, w: S. Morawski, *Szlachta-bracia*, s. XII–XIII.

<sup>14</sup>S. Morawski, *W Peterburku 1827–1838*, s. 337.

<sup>15</sup>A. Witkowska, *Pamiętnikarstwo doby romantyzmu*, w: A. Witkowska, R. Przybylski, *Romantyzm*, Warszawa 1997, s. 617.

<sup>16</sup>M. Janion, M. Żmigrodzka, *Romantyzm i egzystencja. Fragmenty niedokończonego dzieła*, Gdańsk 2004, s. 60–61.

W znamiennej  
ślepcocie i głuchocie  
badaczy literatury  
na zawilości  
duszy człowieka  
przeznaczono więc  
zarówno pisarstwo  
Morawskiego, jak  
jego biografię  
i osobowość

Historycy literatury, jeśli zdarzy im się wspomnieć o Morawskim, to czynią tak z reguły nie ze względu na samoistną wartość tego, co napisał, ale głównie w związku z biografią Mickiewicza. Bo to właśnie Morawski, jak sam powiada we wspomnieniach o Marii Szymanowskiej, „wyswatał” Mickiewicza z jej młodszą córką, Celiną (choć sprawa ta jest dla biografów Mickiewicza od jego strony dość niejasna). A w opublikowanych fragmentach wspomnień Morawskiego o Marii Szymanowskiej oraz w innych jego zapiskach można znaleźć różne szczegóły dotyczące domu pianistki w czasach petersburskich, kiedy bywał w nim również Mickiewicz. Jeden powód więcej, że zwraca się uwagę niemal wyłącznie na anegdotyczną zawartość owych wspomnień.

Wincenty Lutosławski, który natychmiast sprzeciwił się temu zniekształcającemu i zwężającemu traktowaniu twórczości Morawskiego, podnosił, że Morawski to znakomity pisarz „nie tylko jako pamiętnikarz [...], ale jako moralista i psycholog, ukazujący z przenikliwą intuicją rzeczywistość utajoną pod pozorami, malujący świetny obraz zewnętrzny pozorów, a przy tym do głębi sięgający analizą wewnętrznych poruszeń umysłu i serca”<sup>17</sup>. Sprzeciwił się też czynieniu z niego przez wydawców w ich wstępnych uwagach mizantropa: „Żył jako pustelnik, lecz ludziom służył, a pustelnia była mu warsztatem pracy”<sup>18</sup>.

W znamiennej ślepcocie i głuchocie badaczy literatury na zawilości duszy człowieka przeznaczono więc zarówno pisarstwo Morawskiego, jak jego biografię i osobowość. I to nie tylko podając najzupełniej mylne interpretacje pewnych istotnych faktów z jego życia, lecz także podając nieprawdziwe fakty. Nieprawdziwe w taki sposób, że eliminuje to z biografii Morawskiego właśnie to, co dla niej było – według niego samego – najistotniejsze. I co zgodnie z obecną wiedzą psychologiczną nie mogło nie być w jego biografii najistotniejsze.

Ograniczę się do jednego, ale bardzo wyrazistego przykładu. Morawski uważał za najważniejszą sprawę swojego życia to, jak odnosił się do niego ojciec. Ojciec znecał się nad nim przez całe życie, psychicznie i fizycznie. Mimo że Morawski przedstawia z tej sprawy (w tekstach opublikowanych) zaledwie okruchy, jest to niezwykle wnikliwy i do głębi przejmujący, a nadto prekursorski wyraz doświadczeń dziecka niechcianego i niszczonego w rodzinie, doświadczeń, których obraz zaczął przedostawać się do literatury i sztuki dopiero w XX wieku. A oto, jak można tę sprawę już nie tylko zniekształcać, ale wręcz eliminować z biografii Morawskiego.

Autorka biogramu poświęconego Morawskiemu podaje, że opuścił on większą posiadłość ojca i wyjechał do Petersburga, aby utrzymywać się tam samodzielnie z praktyki lekarskiej, ponieważ ojciec doznał uszczerbku majątkowego<sup>19</sup>. Natomiast Morawski podaje jako powód tej decyzji to, że był „zameczony niewolą i zabójczym despotyzmem ojca”, do tego stopnia, że walczył z chęcią popelnienia samobójstwa:

Kiedy mnie Bóg życia dalszego dozwoli, w dalszych częściach tych pamiętników opowiem, jak zameczony niewolą i zabójczym despotyzmem ojca mojego, przymuszony byłem na koniec, zrzuciwszy pychę z serca, uprosić go, żeby mnie, jedynaka, jakkolwiek już na własny chleb i własną pracę uwolnił. Przyrzekłem mu, że słysząc ciągle, jak mu jestem ciężarem, odtąd ani szeląga nigdy od niego potrzebować nie będę. Jak między tym postanowieniem i rozpaczą stał z jednej strony już nabity i z odwiedzionym kurkiem pistolet przed moją nieszczęsną głową, a z drugiej święte uczucia religii i moralności; a po nich, rady prawdziwej, na tych dwóch zasadach opartej moralności. Jak w sobie tedy przemogłem upokorzenie i rozpacz. Jak przez lat pięć czy około tego, wyniósłszy się jak wygnaniec i Tatar do

<sup>17</sup> W. Lutosławski, op. cit., s. 3–4.

<sup>18</sup> Ibidem, s. 8.

<sup>19</sup> A. Witkowska, *Morawski Stanisław*, hasło w: *Mickiewicz. Encyklopedia*, oprac. J. M. Rymkiewicz et al., Warszawa 2001, s. 333.

Petersburga, bez znajomych, bez żadnej protekcji, żyć tam z nauki mojej musiałem, łzami oblewając każdy tym sposobem okupiony kawałek chleba<sup>20</sup>.

O tym, że „ledwie nie każdą minutę swojego życia krwawymi oplakał łzami”, Morawski pisał do Heleny Malewskiej w ostatnim przedśmiertnym liście z Ustronia. A przyczyną owych krwawych łez było właśnie to, co od samego początku życia spotykało go od ojca.

Ten fakt jest tak dalece niedostrzegany w jego biografii – i to już przez przedwojennych wydawców, którzy w związku z tym całkowicie mylnie rysują obraz jego osoby, że znów jeden jedyny Lutosławski umie powiązać decyzje życiowe Morawskiego z ową podstawową, najważniejszą dla niego, biograficzną sprawą. Przecistawiając się twierdzeniom edytorów tomu *Kilka lat młodości mojej w Wilnie*, że wycofanie się Morawskiego, w pełni sił, człowieka trzydziestoparoletniego, do pójcowskiego majątku na zapadłej, głuchej wsi litewskiej, skrywa, według nich, jakąś niewytłumaczalną tajemnicę, Lutosławski pisze, że nie ma w tym żadnej tajemnicy, bo jest ona wyjaśniona w pełni w jego wspomnieniach. Powiada:

Nie na próżno w tylu tytułach [pism Morawskiego] powraca miano „Pustelnika”. Był on pustelnikiem od urodzenia prawie, gdy ojciec w zimie kazał na śnieg wyrzucić niemowlę, aby się hartowało, mówiąc: „Niech się na wszystko przygotowuje! Albo niech lepiej nie żyje”. W ten sposób sam ojciec nadał kierunek życia synowi<sup>21</sup>.

A oto, jak relacjonuje owo zdarzenie sam Morawski:

Chłopiec miał już całe pół wieku, bo miał całe pół roku! Przyjeżdża surowy spartański ojciec zimą z Warszawy. Przyjeżdża, i tę matkę pozdrowi, i to dziecię raz pierwszy przeżegna, ze wszystkich stron obejrzy, uściska – a, ukląkłszy i zmówiwszy pacierze, natychmiast i te bebechy, i te koronki, i te falbany, i same dziecko, słowem wszystko razem na śnieg na dworze wyrzucić każe. „Niech się błazen hartuje!” powiada. „Niech się wcześniej z tym, co go tu spotka i z nędzą życia oswaja! Niech się na wszystko z góry przygotowuje! Albo niech lepiej nie żyje!”<sup>22</sup>

Ową nędzą życia było właśnie przede wszystkim to, co mu zgotował ojciec, a czego opisy wymykają się Morawskiemu spod pióra z największym trudem.

Kto wie – pisał już jako Pustelnik – może potem opowiem pierwsze moje lata, moje dzieciństwo, mój wiek podrosterka. [...] Bo to jest prawdziwy romans [powieść], dramat, że nie powiem tragedia! W romansach tych wymyślają to, co mnie w dzieciństwie rzeczywiście spotkało<sup>23</sup>.

Nie będę zatrzymywać się teraz przy tej sprawie<sup>24</sup>. Pokażę raczej – na paru fragmentach – Morawskiego jako liryka, jako poetę, a nie jako „pamiętnikarza”.

Fragmenty owe dotyczą wspomnianego już tutaj parokrotnie małego majątku, w którym po śmierci ojca osiadł Morawski – Ustronia:

<sup>20</sup> S. Morawski, *Kilka lat młodości mojej w Wilnie*, s. 428.

<sup>21</sup> W. Lutosławski, op. cit., s. 7.

<sup>22</sup> S. Morawski, *Szlachta-bracia*, s. 59.

<sup>23</sup> Idem, *Kilka lat młodości mojej w Wilnie*, s. 429.

<sup>24</sup> Zainteresowany czytelnik znajdzie obszerniejsze rozważania dotyczące tego tematu w mojej rozprawie *Rany pierwotne. O pewnym obszarze nierozumienia we współczesnych badaniach literackich*, w: *(Nie)obecność. Pominięcia i przemilczenia w narracjach XX wieku*, red. H. Gosk, B. Karwowska, Warszawa 2008, s. 206–231.

Wracam znowu w moje śliczne gniazdeczko, jak gniazdo remiza, nad błękitną Wierzchnią wiszące.

Bracie mój! Niechaj tu stopy twoje wypoczną. Oto mój domek wygodny, schludny, gościnny. Oto i te piękne kwiaty, oto i te samopas wyrosłe i te sztucznie umiejętną ojca mojego ręką zasadzone cieniste klomby. Oto i Wierzchnia, wijąca się węzłem po całej ziemi mojej w najrozmaitsze a pełne malowniczych kaprysów zakręty. [...]

Tutaj się tak często lały łzy mojego dzieciństwa! Tutaj często jeszcze łzy pierwszej mojej młodości! Gdzie tu jest kamień, gdzie łąka, gdzie urwisko, gdzie krzaczek, których bym wówczas łzami tymi nie zrosił? [...]

Długoż mnie, o mój Boże! opuszczonego od świata, zapomnianego sercem od starych przyjaciół, oderwanego śmiercią od tych, co mnie szczerze kochali, pozbawionego prawdziwych krewnych, sierotę – trzymać jeszcze tu będziesz?... Długoż jeszcze Sam Jeden tylko czytając serca mego karty, tą pięknnością przyrodzenia, którąś tu Ręką Twoją utworzył, gorzkie duszy mojej boleści łagodzić będziesz?...<sup>25</sup>

A oto inny fragment, również dotyczący Ustronia:

Są smutki, są ciężkie ołowiane życia wspomnienia, które pomimo całej swej boleści przywiązują nas do miejsca, gdzie czy serce, czy dusza nasza srodze targane były.

Nieraz stojąc nad urwiskiem brzegu bystro pod domem twoim płynącej rzeki lub folgując zmordowanym dziennymi trudami stopom, usiadłszy na jakim odwiecznym kamieniu, tak dobrze, tak dawno tobie znajomym, ocierając pot z czoła twego, z tęsknym uśmiechem zagłębisz się w przeszłość i przypomnisz, żeś tu kiedyś gorzkimi zalewał się łzami. I kamień ten, tego niemego świadka łzów twoich, dłonią przyjaciela mimowolnie uściśniesz!

I dlatego ci tu miło, żeś tutaj cierpiał. Czas wielkim – na wszystko lekarzem. Ale nawet i wtedy, kiedy cię Bóg tymi srogimi dotykał próby, wstrętu do tej rzeki, do tego kamienia, do tej ziemi nie miałeś!<sup>26</sup>

Jak sam stwierdzał: „Są poeci na zewnątrz, którzy prozę noszą w sercu. Są i tacy, co w życiu potocznym praktyczni, w duszy ciągną lechtani są poezją”<sup>27</sup>.

#### 4.

W owym Ustroniu Morawski w ciągu około dziesięciu ostatnich lat swego życia napisał niemal wszystko to, co napisał. Tutaj właśnie, „w ogrodzie”, zapisał też „sposzyt IV-ty” swoich *Wspomnień* zatytułowany *Szymanowska*.

Była wiosna, był maj. I ów „sposzyt IV-ty” zaczyna się inwokacją do wiosny litewskiej, stanowiąc rodzaj – podobnie jak przytaczane już fragmenty o Ustroniu – duchowego autoportretu Morawskiego:

Witaj mi stary, drogi, wierny, jedyny już w życiu przyjacielu! witaj druhu, którego powrót w mój domek tak wielkim co rok dla mnie jest świętem! [...]

<sup>25</sup> S. Morawski, *Ustronie. Fragment*, w: idem, *Szlachta-bracia*, s. 251 i 259.

<sup>26</sup> Idem, *Szlachta-bracia*, s. 133.

<sup>27</sup> Idem, *Kilka lat młodości mojej w Wilnie*, s. 397–398.

Witaj czeczotko, co rok już dziesiąty na słupie ganku mojego, z ufnością we mnie, tak święcie dla mnie zaszczytną, śmiało tu sobie wiesz gniazdeczko! choć masz tu tyle i drzew, i kwiatów, i krzewów, i klombów! [...] <sup>28</sup>

Po tym lirycznym wstępie (sam Morawski nazwał go w jednym z listów „uwerturą”), pojawia się temat główny:

W tej chwili, kiedy nas nikt już nie kocha, [...] odszukajmy przynajmniej dzisiaj pamięcią dawnych naszych ludzi! [...]  
Niechaj ten dzień poświęcę pamięci przyjaźni!

I oto zjawia się postać: „kobieta, ogromnym artystycznym talentem, przedziwną pięknnością ciała, dobroczynnością, uczynnością, gościnnością, i tylu cnotami kobiety słynna za życia” – która jednak „nie znalazła po śmierci ani jednego pióra, które by jej pamięci, pamięci tak rzadkiej rodaczki, poświęciło chwil kilka!”.

Osobista znajomość Morawskiego z Marią Szymanowską trwała kilka petersburskich lat (jako lekarz był przy jej łożu śmierci, umarła na panującą wówczas cholera), ale już wcześniej znał jej słynne w ówczesnym świecie kompozycje (a nawet sam je grywał). I daje nam wyobrażenie o jej sławie. Ale przede wszystkim przekazuje portret osoby o nieprzeciętnej osobowości, a nie tylko o nieprzeciętnym talencie. Dzięki Morawskiemu dowiadujemy się też, jak ogromnie ważną rolę odgrywała w życiu środowiska polskiego w Rosji:

Dom Szymanowskiej, wszędzie, gdzie się zatrzymała, stawał się natychmiast jakimś przybytkiem, w którym wszystkie miejscowe znakomitości czy rodu, czy literatury, czy sztuki, zbiegały się i kojarzyły jak w środku promienistego koła. Pełna wychowania, wykształcenia umysłowego, pełna dobrego tonu, naturalności, prostoty, dowcipu, umiała salonowi swojemu nadać także pełen godności i szlachetności kierunek, nadać mu prawdziwe życie.

Podobnie było, gdy Maria Szymanowska zamieszkała w Petersburgu:

Jej ujmująca grzeczność, otwartość, naturalność, ciągle musujący dowcip, jej nauka, niepospolity talent muzyczny i piękna postać, przy nieposzlakowanej konduicie, różniły całym niebem dom jej od domów innych europejskich artystek. Ten właśnie powszechny dla niej szacunek był przyczyną, że w jej salonie dawały się widzieć ledwie nie co dzień najznakomitsze osoby płci obojej. [...]

Dom jej stał zawsze otworem dla wszystkich Polaków, którzy wyższym kształceniem i konduitą warci byli tego zaszczytu.

Sam Morawski znał Marię Szymanowską na długo przedtem, zanim poznał ją osobiście, jako kompozytorkę. Pisze, że ojciec jego, „sam nawet kiedyś aż na dwóch instrumentach amator i śpiewak”, którego wielokrotnie słyszał zachwycającego się jej grą, znaną mu z wielokrotnych pobytów w Warszawie, „kufry całe jej kompozycjami ładował i woził je dla mnie z Warszawy”. Dowiadujemy się przy tym:

Jeszczem był w Wilnie, kiedy mnie jej sławne *Excercises* kosztowały dużo i dni, i nocy. Bo kiedyś i ja miałem do fortepiana i pretensję, i skłonność.

.....  
<sup>28</sup> Niektóre z cytowanych tu przeze mnie fragmentów tekstu Morawskiego były publikowane, ale ponieważ zdarzają się w nich błędy i niezaznaczone opuszczenia, wszystkie przytaczam z rękopisu (dlatego nie podaję ich lokalizacji).



Oto jednak, co nastąpiło, gdy po raz pierwszy usłyszał jej grę:

Pierwszym skutkiem tej pierwszej wizyty było, że ja, co choć nie bardzo biegle, ale z wielkim, jak mówiono, czuciem grałem na fortepianie, wróciwszy do domu, natychmiast instrument mój na zawsze przed sobą zamknąłem, i jako partacz, nigdy się już odtąd do dziś dnia, ani razu klawisza nie dotkną!

Istotnie, kompozycje Szymanowskiej mogły wypełniać kufry całe, bo Morawski wylicza znane wtedy i powszechnie grywane jej utwory, dodając, że „wiele niewydanych po niej zostało”. Wspominając o „świeżo ułożonym” w Petersburgu nokturnie *Le Murmure*, pisze:

Słyszałem go już był po wielu domach. Brząkały go ledwie nie wszystkie kobiety stolicy; toś tylko przy otwartych oknach idąc po ulicy i słyszał! Ale jakim on był, kiedy miał żywą duszę, poznać to tylko było można pod ręką Szymanowskiej!

I oto, jak Morawski zdaje sprawę z jej gry. Według niego była to gra ekspresyjna, poetycka i uduchowiona. Oddawała, jak pisze, „całą prawdziwą poezję ziemskiego życia człowieka” i zarazem „przecucie tych duchowych rozkoszy, które nas w przyszłym życiu czekają”. W innym miejscu powiada:

Gra Szymanowskiej była pełna ekspresji i czucia. W każdym trąceniu klawisza odzywała się jej dusza; a własne chwilowe wrażenia umiała przelać w swojego słuchacza, że je także razem z nią sercem pojmował. Widziałem i słyszałem wielu najpierwszych w Europie artystów, ale rzadko w kim spotkałem się z równie jasnym i delikatnym pojęciem każdego wyższego melodyjnego odcienia.

Trochę dalej dodaje:

A wszystko to było okryte jakąś ogólną sinawą barwą niebieskiego eteru, jakimś odległym przecuciem dalszych wiecznych losów, jakimś urokiem serdecznej tęsknoty, którą Bóg wlał wprawdzie w dusze wszystkich prawie ludzi, ale szczególnie w nasze sławiańskie plemię.

I jakby nie znajdując zadowalającego wyrazu dla przekazania szczególnego – powiedziec by chyba można: metafizycznego – charakteru swoich odczuć, Morawski dopowiada:

Dosyć bo wiedzieć, że latające wolno po jej pokojach kanarki, jak się tylko, bywało, do fortepiana zabrała, jak żeby rozumiały, że jej dusza podówczas z Bogiem rozmawia, siadały na jej pulpicie i uważnie jej dźwięków słuchały.

W odczuciu Morawskiego gra Szymanowskiej odpowiadała temu, co uważał za istotę muzyki. A muzyka to była dla niego „mowa duszy”, „wyrażenie czy przecucie drgań najdelikatniejszych strun naszego serca”.

Do tego jeszcze wróć. W tej chwili, w związku z grą Szymanowskiej, wspomnę o wątku rozważań Morawskiego dotyczącym przemian, jakie jego zdaniem zachodziły w śledzonym przez niego europejskim życiu muzycznym.

Bezpośrednio po próbie scharakteryzowania gry Marii Szymanowskiej, powiada on tak:

Epoka, kiedy ją poznałem, była już śpiewem łabędzia prawdziwej muzyki, to jest muzyki mówiącej do duszy. Już się zaczynała i dobrze była podrosła muzyka mówiąca tylko do oka

I oto, jak Morawski  
zdaje sprawę  
z jej gry. Według  
niego była to gra  
ekspresyjna, poetycka  
i uduchowiona

i zadziwiająca rozum: bo muzyka biegłości i mechanizmu palców. Ta biegłość dzisiaj doszła już do tego stopnia, jakiego ani Szymanowska, ani żaden z ówczesnych artystów domyślać się prawie nie mogli. Ale za to za jej czasu było daleko więcej czucia i gustu.

W innym miejscu ujmuje to w stwierdzeniu, że muzyce w czasach, gdy pisze, już „odjęto życie” – „bo wyrwano duszę”. Mianowicie: „Zaczęto muzykę kochać dla muzykanta”. To znaczy – „dla mechanizmu palców i instrumentów”, dla „mechanicznej biegłości wykonania”.

Swoje spostrzeżenia Morawski ilustruje satyrycznymi obrazkami:

Każdy dzisiejszy artysta-kompozytor powiada sobie, zacierając ręce: „Daj go katu! Niechże się teraz w głowę poskrobia! Zobaczymy, który z nich wygrać to, co napisałem, potrafi!” [...].

A oto drugi obrazek:

Każdy dzisiejszy egzekutor-artysta, z hardą i zarozumiałą miną, mierząc nas od stóp do głów i potrząsając kudłami, zdaje się mówić do nas, nędznych profanów: „Patrzcie, jak palce moje szybko i pławnie po klawiszach biegają! Patrzcie na ten trol, co o włos uderzenia nie chybi! Odbierzcie, utnijcie mi, kiedy chcecie, prawą moją rękę, ja wam i lewą to wszystko i równie doskonale wygram!” [...].

Te fragmenty dają też wyobrażenie o wspaniałej barwności języka Morawskiego. Cóż dopiero, gdy pisze on na przykład – w tym kontekście – o panującej współcześnie „chęci zadziwienia nowością i rzucenia pyłu w oczy rozdziawionemu na fraszki i zniewieściałemu światu” czy o pojawiających się w coraz większej liczbie (rzekomo) cudownych dzieciach: „Orfeusze jeszcze w skorupce od jaja”. Albo:

Dziś, co wytkniesz palec – to na artystę; co czapką rzucisz – to trafisz w geniusza!

## 5.

Bardzo trudno przedstawić zwięźle i spójnie mały traktat Morawskiego o tym: „Co jest muzyka?”, umieszczony w tekście wspomnień o Marii Szymanowskiej, w całości pominięty przez do tychczasowych wydawców, szczęśliwie ocalały, ale spoczywający po dziś dzień w rękopisie.

Rozważania o istocie muzyki przeprowadza bowiem Stanisław Morawski nie w taki sposób, że buduje wywody ciągle, logicznie uporządkowane, ale przerywając się swobodnie od jednych uwag do drugich, wracając do niektórych, dodając inne – i przerywając rozważania długimi wielokropkami, zachęcającymi czytelnika do współmyślenia. Tym trudniej treść jego wywodów w streszczeniu przedstawić, że pewne pojęcia abstrakcyjne przeplatają się tu z wyrażeniami poetyckimi – które w innym fragmencie mogą okazać się jednak związane z określonymi sensami metafizycznymi.

Tak jest przede wszystkim z przewijającym się przez rozważania Morawskiego określeniem, że „muzyka jest mową duszy”. Kiedy bowiem Morawski pisze w jednym z dalszych fragmentów, że jest mową duszy oderwanej od ciała, to nie są to już wyrażenia czysto poetyckie: rozpoznajemy tu właśnie określoną koncepcję metafizyczną, sięgającą starożytności. Przytoczę ten fragment:

Starano się i starają ciągle zdefiniować naturę muzyki. Pełno jest o tym i broszur, i książek.

A nikt jej dotąd nie orzekł [nie określił] – i nie tak prędko orzeknie!

Zdaje się bowiem, że jako głos nasz artykułowany jest mową ciała, zostającego w ściśle żywotnym i przyrodzonym z duszą naszą spojeniu, tak znowu czy śpiew, czy muzyka jest prosto mową samej duszy, od cielesnych na chwilę oderwanej więzów.

Ta koncepcja stanowi uzasadnienie przeświadczenia, że muzyka najbardziej ze wszystkich sztuk zbliża duszę ludzką do Boga:

Dziwi się i oko nasze utworom snycerstwa, malarstwa, cudom ziemskiej budowy. Ale nic tak duszy do Boga nie wznosi, jak dźwięki muzycznego chóru.

I jeszcze:

Śpiewają przez Tronem Pana i grają anieli; nikt tam nie deklamuje poematów, nikt nie maluje obrazów, nikt nie przynosi rzeźby, nikt Mu tam nie buduje pałaców!

Instynkt mas bez pomocy nawet Objawienia, sam z siebie tę ideę wyrobił! Ten już fakt jeden zasługuje na jakąś myślącego człowieka uwagę!

Jak widzimy, Morawski wprowadza do swoich rozważań (i będzie to czynił kilkakrotnie) znany z historii sztuki europejskiej, z towarzyszących jej teoretycznych traktatów, wątek tzw. paragonu (z włoskiego *paragone* – porównanie), czyli porównywania sztuk, ich zalet i wartości: zastanawiania się, która ze sztuk jest najdoskonalsza i dlaczego. W najsłynniejszym tego rodzaju traktacie, o malarstwie, Leonardo da Vinci utrzymywał, że najdoskonalsza ze sztuk to malarstwo.

Ale od tych nadziemskich wyżyn następuje w innym fragmencie rozważań Morawskiego zwrot ku zgoła ziemskiej, a nadto ograniczonej płaszczyźnie: ograniczonej do kręgu kultury europejskiej. Pisze on bowiem:

Nie można jednak nie przyznać, że muzyka nasza tę jeszcze u nas ma własność, że jest wspólnym językiem duszy dla wszystkich cywilizacji europejskiej uległych narodów. Jedne tylko obrzędy świętej wiary naszej takiz do ludzi mają stosunek, że je na każdym końcu świata każdy rozumie, bez względu na język.

Co powiedziawszy, Morawski nawiązuje z kolei do osiemnastowiecznej idei poszukiwania języka uniwersalnego, dodając:

Leibniz, i wielu innych niższych od niego mędrców, łamali sobie głowy na wynalezieniu jednego i powszechnego języka dla uczonego świata. Myśl i pożyteczna, i wielka. Początków jej urzeczywistnienia może by w muzyce szukać należało.

Poprzestanę na tym jednym przykładzie zmienności horyzontów i bogactwa zagadnień (i tak niekompletnie tu przedstawionym), który wiąże się z określeniem muzyki jako „mowy duszy”, aby teraz w najogólniejszym zarysie zrekonstruować filozoficzne sedno odpowiedzi Morawskiego na ponawiane przez niego pytanie: „Co jest muzyka?”

Otóż nawiązuje on – i to *expressis verbis* – do starożytnych teorii pitagorejskich, które dotyczą szczególnych kategorii: „dźwięku” i „liczby”, oraz do związanej z tymi kategoriami, pitagorejskiej koncepcji natury wszechświata.

Dopowiem najpierw, że już ów wątek możliwości odrywania się duszy od ciała i umożliwiania jej w ten sposób obcowania z bóstwem – dzięki muzyce, to wątek pitagorejski (taką właśnie funkcję miała spełniać muzyka w misteriach kultywowanych przez pitagorejczyków).

Ważniejsze są jednak u Morawskiego – tak jak u samych pitagorejczyków – wymienione tu dwie kategorie: dźwięku i liczby, i koncepcja wszechświata.

Jak podają historycy filozofii, pitagorejczycy łączyli dwa, zdawałoby się, przeciwieństwa: mistykę i badania przyrodnicze. W ramach tych ostatnich dokonali ważnych odkryć naukowych (przypomnę, że Morawski jako lekarz był człowiekiem nauki). Odkryli mianowicie, że przyczyną dźwięku jest ruch (drżania ciała dźwięczącego) oraz że dźwięki muzyczne wykazują pewne matematyczne prawidłowości („liczbę”). Badając te prawidłowości, uznali, że oparty jest na nich cały wszechświat; że we wszechświecie panuje ład i regularność (harmonia); że rządzą nim zasady matematyczne („liczba”). Uważali też, że dźwięk, oparty na „liczbie” (czyli mający określoną strukturę matematyczną), to realna siła w przyrodzie. Siła o charakterze stwórczym.

Te właśnie pojęcia i przeświadczenia stanowią ośnowę rozważań Morawskiego o istocie muzyki i jej powiązaniu z istotą wszechświata. Morawski łączy je z chrześcijańską koncepcją początku wszechświata, przyjmując, że ewangeliczne „Słowo”, które było „na początku”, to był właśnie „dźwięk”, mający swoją „liczbę” (to znaczy strukturę matematyczną) i będący siłą stwórczą.

Tak można przedstawić ekstrakt najistotniejszych wywodów Morawskiego. A teraz ich przykładowy fragment:

Świat od dawna stracił czyste pojęcie stosunku muzyki i siły dźwięków do duszy ludzkiej i do całej reszty stworzenia; stracił pojęcie tego, jakie ona miejsce zajmuje w ogólnej harmonii wszystkiego, co wzięło początek od Słowa!

A jednak pierwsze Wielkie Słowo było i musiało być Dźwiękiem! .....

I jeszcze parę sformułowań najkrótszych:

Liczba jest zasadą harmonii świata. [...] A muzyka znaczną część tej harmonii stanowi.

A w innym miejscu:

Dźwięk jest siłą, której zmysłami ująć nie możesz, a zatem siłą potężną, siłą niezwalczoną dla zmysłów naszych. Bij się i wojuj z widmem – przegrać bitwę koniecznie musisz! Skaczą w starożytności na odgłos liry Amfiona kamienie, bajeczne pod wdziękiem gry Orfeusza zasypiają piekła. Runęły pod hukiem trąb izraelskich mury Jerycha.

Wreszcie, w charakterze syntezy:

Muzyka, córka dźwięku i liczby, wnuczka pierwszego „Stań się; stało”, musi koniecznie być w najbliższym pokrewieństwie z duszą człowieka. Jest to ostateczne, krańcowe wyrażenie poezji duszy naszej, okrytej brzemieniem ciała, jeśli tylko jest dobrze zrozumianą i pojętą w swoim znaczeniu. Jest to najwięcej podatna, a najmniej jednakże ująć i ścisnąć się dająca z form, które myśl nasza plastycznie przybiera.

Toteż pojawiają się jeszcze u Morawskiego takie sformułowania:

Muzyka jest poezją w stanie lotnym, w stanie, że tak powiem, pary.

Zastrzegając się, że „nie wypowiedział wszystkiego” i przewidując zarzuty, że uprawia „misticzmy”, Morawski po tych rozważaniach o istocie muzyki wraca do Marii Szymanowskiej. I po różnych jeszcze wspomnieniach, dotyczących jej osobowości i petersburskiego domu, pisze:

Teraz mnie kto bez wątpienia po dzisiejszemu zapyta: „Byłaż ona prawdziwie narodową?”.

Ważniejsze są jednak u Morawskiego – tak jak u samych pitagorejczyków – wymienione tu dwie kategorie: dźwięku i liczby, i koncepcja wszechświata